

Barbara Grocholska-Kurkowiak

część I z II

Sygnatura notacji: **N0653**

Data urodzenia: **24.08.1927 r.**

Data nagrania: **27.11.2024 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Zakopane, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 51 min, część II: 65 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Barbara Grocholska-Kurkowiak. Ojciec Adam Remigiusz, matka Barbara z domu Czetwertyńska. Jej ojciec był nadzwyczajnym człowiekiem, Seweryn Czetwertyński. Zresztą zginął, umarł w Oświęcimiu. To już dzisiaj na szczęście nie polegając na mojej pamięci, można wszystko w internecie o nim dowiedzieć się, bo uważam, że to bardzo ciekawy człowiek, a dla nas przemiły dziadek. Mieszkał w Suchowoli, w lubelskim, i tam często jeździliśmy na wakacje. Ale wracając jeszcze do mojej młodości czy dzieciństwa, tu już dat nie bardzo pamiętam, jak i kiedy, bo myśmy... Ja się urodziłam w Falentach pod Raszynom, tak że jestem krewna Igi Świętek. Właśnie bardzo chciałam się zaraz z nią porozumieć, bo obie jesteśmy raszynianki jakoś. Więc w Falentach tych się urodziłam, a Falenty należały do mojej... babki czy prababki... Prababki zdaje się, Przeździeckiej. Myśmy mieszkali tam, bo tam duży pałac taki stoi, a myśmy mieszkali w takiej oficynie jakby po drugiej stronie tego pałacu i tam całe dzieciństwo było. W pewnym momencie ojciec został, nie wiem, czy to został powołany do wojska, czy został powołany na służbę jakoś gdzieś, bo musiał się przenieść do Garwolina. I od tego czasu mieszkaliśmy w Garwolinie, w pułku. Także jak któraś z pań dziennikarek powiedziała, że podobno Piłsudski mnie na rękach nosił, to aż mi się wszystko... dlatego bo my na imię Piłsudskiego to wszyscy stawialiśmy na baczność, bośmy tak byli wychowani. Ojciec robił tak, nie wiem, co to było, czy to było takie jakieś, że w wojsku tak się robiło, że ojciec stawał i mówił: „Zbiórka!”. Tak pokazywał i wtedy wiadomo było, że w tą stronę się ustawiają, bo nas było dziesięcioro, co prawda wtedy jeszcze nie dziesięcioro. Ale wszyscy się ustawiali właśnie od prawej do lewej strony.

Artur Kłus: Ojciec znał Piłsudskiego?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Słucham?

Artur Kłus: Ojciec znał Piłsudskiego?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Ojciec był przez pewien czas adiutantem Piłsudskiego. No i chyba od niego... zostało u nas w pamięci i w sercu jakaś wielka miłość do Marszałka właśnie. Aha, no i w tym Garwolinie. Jak było w Garwolinie? Więc naturalnie w dalszym ciągu od małego, jak żeśmy robili tę zbiórkę, to w Garwolinie byliśmy otoczeni w ogóle wojskiem, prawda? Także ciągle byliśmy trochę pod tym takim jakimś wychowaniem wojskowym. Dostyc takim mocnym, żeby się brać w garść i tak dalej. W Garwolinie naturalnie ojciec jako tam dowódca mógł załatwić to, że mogłam zacząć jazdę konną, bo ja strasznie konie lubiłam. I już w tych Falentach... Aha, to były Falenty, a później Puchały. Dlatego, że jak byliśmy trochę więksi, to właśnie prababka chyba mamie podarowała jakiś kawałek ziemi z drugiej strony szosy raszyńskiej. Z tej strony były Falenty, z drugiej strony były te Puchały. Tam było masę stawów rybnych i te Puchały były tak jakoś, że ten dom nasz był w budowie i łączył się właściwie z zabudowaniami gospodarskimi, tak że konie i krowy można powiedzieć, że prawie w jednym domu mieszkaliśmy, bo to był tylko, prawda, jakoś róg, jakoś zwrócony ten dom. W każdym razie siedzieliśmy w tych Puchałach i później w Garwolinie. Tak mi się wydaje, że Garwolin był już po Puchałach. No i tam były właśnie, ponieważ często widzieliśmy te zbiórki właśnie wojska itd., więc naturalnie dla nas to była normalna rzecz, jak żeśmy się zbierali wszyscy, jak ojciec tylko powiedział zbiórka, to wszyscy stali jak jeden mąż.

Artur Kłus: I też pani mówiła, że byliście związani z Lubelszczyzną, tak?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Tak, w lubelskim właśnie mieszkał dziadek Czetwertyński i mieszkała moja ciotka, bo u nas było tak śmiesznie w rodzinie, że dwóch braci ożeniło się z dwoma siostrami. Dwóch Grocholskich z dwoma Czetwertyńskimi. I właśnie ciocia ona się nazywała, miała imię Maria Józefa, więc Marjózia ją wszyscy nazywali. Więc Marjózia, i to byli nasi najbliżsi krewni, ona bardzo wysoka osoba. I takie nieszczęście było, jej ten majątek się nazywał Planta, to było koło Wohynia, Radzyń-Wohyń, te klimaty. I kiedyś jej mąż, Michał Grocholski, poszedł do lasu, bo to wtedy strasznie dużo było tych polowań różnych itd., on poszedł do lasu, a byli kłusownicy wtedy. To prawda, bo można było dostać pozwolenie na polowania, a kłusownicy to byli ludzie, którzy przychodzili i strzelali do tych rogaczy czy do dzików bez pozwolenia żadnego, tak jakby złodzieje. No i spotkał się właśnie z nim ten stryj i coś tam, zdaje się, że zaczął na niego krzyczeć czy coś takiego. I on na to się odwinął i strzelił do niego. Nie do dzika, tylko do niego i zabił go na miejscu. Także ciotka została bardzo młodo wdową. Miała dwoje dzieci, Marcina i Maryjkę. Marcin był w korpusie kadetów, więc dla nas też to było strasznie imponujące, że on tam jest. Niestety zaraził się odrą, a odra wtedy była tak groźną chorobą, że nie wybronili go wtedy. Tak że ojciec nawet pojechał tam, bo nie wiem, gdzie on był w tej szkole, nie pamiętam. Ojciec pojechał do tej szkoły i ten Marcin na rękach mu umarł. Tak że dla cioci Marjózi została tylko jedna ta Maryjka, która była ze mną bardzo blisko, zresztą była blisko nie tylko z lat dziecinnych, dlatego że powoli konspiracja itd., to przeszło właściwie prędzej od niej, bo ona była, nie wiem, trzy lata chyba starsza czy cztery ode mnie. Więc ona pierwsza do tej konspiracji poszłaby. Nie wiem, czy nie za prędko przeszłam.

Artur Kłus: Ja mogę ewentualnie dopytać, bo jak tata był wojskowym, to czy Pani na przykład miała informacje, albo przeczuwała, że wojna się zbliża?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Tak, tak, naturalnie, tak.

Artur Kłus: Jak to wyglądało?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Tak, no po prostu, tak bym powiedziała, że i wychowanie w jakimś kierunku, i wszystko było związane właśnie z rodziną. Ponieważ ci dziadkowie i rodzice byli tacy nadzwyczajni, wobec tego nadzwyczajność to nie jest to, że człowiek ładnie wygląda, ale cały charakter i styl życia i wszystko, co robili, było takie, że na nas to naturalnie wpływało i to było normalne, a nie to, że człowiek zostawał hulaką i lubił popijać sobie za dużo, czy tam nie wiem co. Tylko jednak miał pewien kierunek już w życiu. Też mi się w tej chwili przypomniało, bo naturalnie kościół i wiara w ogóle była bardzo ważną rzeczą w naszym życiu. Wieczorem zawsze wszyscy przychodzili na wieczorny pacierz, klękaliśmy wszyscy razem, ojciec, mama i kto tam był w domu i mówiliśmy pacierz wieczorny. Zastaje się, że tylko wieczorny, a poranny już mówiliśmy osobno. No i gdzieś tam w ciągu życia moim spowiednikiem był ksiądz Wyszyński. No i pamiętam, to było takie śmieszne, że spytał mi się, ponieważ widział, że te włosy mam pokręcone, więc spytał się, czy jestem próżna. A ja naturalnie taka mądra pomyślałam, że ksiądz się pyta, czy nie jadłam śniadania, czy żołądek jest próżny. Z wielką radością wykrzyknęłam, że tak, tak, jestem próżna. To takie mi zostało na całe życie, bo naturalnie ja to opowiedziałam rodzicom, a rodzice już opowiadali wszystkim, jaką mają córkę inteligentną. Tak więc wychowanie jakieś i to, jaki człowiek został w ciągu życia, wydaje mi się, że tak bardzo zależało, właśnie to jacy byli Ci wszyscy moi przodkowie, że to bardzo wpłynęło na nas wszystkich, na całą naszą dziesiątkę, bo nas było dziesięcioro.

Artur Kłus: A jak pani właśnie wspomina wybuch wojny, spodziewała się Pani, że to... to się zbliża?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Wie pan tak bardzo tego nie pamiętam. Aha, bo skąd myśmy się mieli w Warszawie? Skądżeśmy się wzięli w tej Warszawie? Właśnie jak przychodziła wojna, to opuściliśmy te Puchały i pojechaliśmy do Warszawy. I tam ojciec gdzieś znalazł dom. To była taka willa na Mokotowie na ulicy Ikara. I to było długi czas moje dzieciństwo, bo już człowiek coraz doroślejszy był, więc coraz większy. I właśnie to Ikara to już było takie, że człowiek zaczynał myśleć, jak to na tym świecie jest i tak dalej. I tutaj właśnie już, jeżeli chodzi o konspirację... I to zły, dobry, i jak to wszystko w ogóle wygląda, to właściwie się już rodziło na tej ulicy Ikara. Ta Maryjka... Aha, bo matka jej została, bo z tego lubelskiego ludzie, którzy mieli majątki, przeważnie zostali powywożeni do obozów i matka Maryjki, ciocia Marjózia, a myśmy ją strasznie lubili, bo ona z nami konno jeździła i tak dalej. I wiadomo było, że to wszystko, te konie, a to chyba największe, jeszcze jak w tej mieszkaliśmy, właśnie jeździliśmy do niej na wakacje z Warszawy i właśnie ona została wywieziona do Ravensbrück. Dziadek został wywieziony do Oświęcimia. Później to już w historycznych tych trzeba zobaczyć jego całą kolejność tych wszystkich obozów. Zresztą dziadek właśnie został w końcu wyzwolony przez Amerykanów, dziadek Seweryn Czetwertyński. Nie pamiętam właśnie, co to miał za chorobę. Coś takiego, że wzięli go na operację już wyzwolonego, niestety umarł właśnie już wolny, ale umarł. Także to było bardzo ciężkie dla wszystkich nas, bo dziadek był dla wszystkich bardzo ważną osobą.

Artur Kłus: A do konspiracji panią wciągnęła Maryjka?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Maryjka. No i ojciec naturalnie. Tylko to właśnie przez ojca, przez wszystkich znajomych, tych kuzynów jakichś czy coś, to jakoś tak się powoli... Dobrze to nie pamiętam tych ćwiczeń wszystkich, bośmy chodzili na ćwiczenia różne, bo to trzeba było się nauczyć karabin rozebrać i zebrać. I w ogóle strzelania, i wszystkiego i poza tym spraw, bo ja właściwie na sanitariuszkę się... Uczył się człowiek strzelać, bo musiał się nauczyć, ale właściwie się szkoliłam na sanitariuszkę. I gdzieś na ulicy Mokotowskiej, chodziliśmy na Mokotowską, już też nie pamiętam, jak to jest konspiracyjnie, co to tam było. Jakaś krawcowa, nie pamiętam, w każdym razie człowiek tam chodził niby tego, a tam były te kursy właśnie. A ponieważ moi bracia już też wychodzili, ale myśmy między sobą też nic nie mówili, dlatego że to jednak trzeba było tą konspirację bardzo uważać. Ja i tak w ogóle nie wiem, jak to się stało, bo zaczynam od tego, że mama, niby się zawsze mówiło, że przy ojcu, a dla mnie mama została... Przepraszam. Właśnie tutaj trzeba od ojca wziąć siłę, wziąć się w garść. Ja zawsze mówię, że mama jest święta. Że naprawdę... O, dzięki. Że naprawdę.. To była nadzwyczajna osoba. I co jeszcze było właśnie nadzwyczajne, to ich więź między sobą, ojca i mamy. Pod każdym względem. Naturalnie zaczynając od wiary, wielkiej wiary i ojca i mamy, głębokiej, jakiejś takiej, nie takiej jakiejś byle co. Konspiracja, bo mama, mimo tego, że miała dziesięcioro już, zdaje się, że dziewięcioro już Elżbieta... Elżbieta Zanussi, to moja najmłodsza siostrzyczka, która zawsze się nazywała Dzidzia. Ja teraz do niej tak mówię, ponieważ ona jakoś ze zdrowiem nie bardzo. Ja mówię: „Dzidziu, weź się w garść”. Ale to jeszcze robię taki wyskok. Właśnie o mamie. Że mama... Tak samo było w konspiracji, w tym momencie nie pamiętam, to na pewno też gdzieś w historii jest zapisane już, do jakiej organizacji mama...

Artur Kłus: Żegocie, Rada Pomocy Żydom.

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Słucham?

Artur Kłus: Żegota, Rada Pomocy Żydom, to tam mama była.

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Tak, tak, właśnie. I też można sobie pomyśleć, że kobieta, która, wie pan... Rodzić, pan nie wie, co to jest, ale rodzic dziesięcioro dzieci i przy tym być tak mocną. Mama ciągle chodziła do ojca... Bo ojciec w końcu był niedaleko nas i to jeszcze było nadzwyczajne, że przecież szpiegów było naturalnie wszędzie na około masę, że nikt nie wyniuchał to, że po nitce do kłębka, że mama do ojca chodzi. A tam chodziła i my, co który dorastał, to został przedstawiony ojcu, czy ojciec nam przedstawiony, już nie wiem, jak to powiedzieć. Siedzieliśmy w domu, a w pewnym momencie, bo się mówiło, że papa, myśmy mówili papa na ojca, że papa gdzieś w czasie wojny gdzieś tam zaginął itd., czy za granicą, już nie pamiętam, co się tam mówiło. A w pewnym momencie to dziecko dorastało, wiadomo było, że już nie polecą i nie będzie krzyczało po ulicy: „mój papa jest na tym...”. Ale jakie to wszystko było niebezpieczne strasznie.

Artur Kłus: A ojciec wtedy gdzie był?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Mieszkał na Mokotowie. Jak to był numer? Zawsze doskonale wiedziałam.

Nie 24? Nie pamiętam w tym momencie. To w końcu od nas, od tego Mokotowa Dolnego, na którym myśmy byli, to bardzo niedaleko było. Pamiętam, że do ojca dojeżdżało się tramwajem, że gdzieś tam wsiadało się w tramwaj u nas na dole i później tym tramwajem się gdzieś podjeżdżało. Ojciec był na Puławskiej? – Bo ojciec był komendantem... – „Wachlarz”. – Obwodu „Mokotów,” okręg warszawskiego Armii Krajowej. – Tak, no ale „Wachlarz” jest bardzo ważny, bo właściwie „Wachlarz” chyba był przez ojca założony. Ten „Wachlarz”, ja dzisiaj już nie potrafię powiedzieć tej całej organizacji „Wachlarz”, bo to było, właśnie o to chodziło, że jakiś jest tak jak „Wachlarz” był. Bo ojciec był też artystą i pisał poezję i malował bardzo dużo. Także ten „Wachlarz” to się zrobił chyba dlatego ta nazwa, że to jakoś była organizacja tak rozkładająca się, jak wachlarz. No ale żeby jakoś tu dojść do jednego momentu. Aha, więc powoli żeśmy byli przedstawiani właśnie ojcu i pamiętam, jak został przedstawiony ojcu Ignacy. Mikołaj, Basia, Remigian, Michał, Anna, Ignacy... Szósty. Pamiętam, że ten chłopaczek siedział naprzeciw ojca i tak, dosłownie tak się trząsł. Tak szalenie przeżywaliśmy wszyscy to, że raptem ten ojciec, który się mówiło, że nie ma go w ogóle, że gdzieś zaginął w czasie wojny, raptem się tego, że ten pan, obcy człowiek właściwie, że ten pan to jest mamy mąż i mój ojciec. Więc to wszystko było bardzo trudne, niby cudowne, ale bardzo trudne dla dzieci. No i powoli, jeżeli chodzi o tę konspirację, to człowiek coraz mocniej w to wchodził. I koleżanką moją, jeżeli można tak powiedzieć, została pani Wanda. Najważniejsza osoba. Nie Tycner? Chyba Wanda Tycner. Czy ona Wanda, czy jej córka Wanda? Już nie wiem. Co? Nadzwyczajna osoba. Nadzwyczajny konspirator. Ona miała jakieś, to w historycznych rzeczach na pewno też tam jest, bo to jest osoba bardzo znana, przemiła i w dalszym ciągu właśnie to, co ja mówiłam, że od rodziny się... Jakby od rodziny przychodziło na nas pewne wychowanie, pewne idee itd., to tak samo ona w dalszym ciągu była tą osobą, która była w takim samym właśnie kręgu i na nas wpływała, na nas młodsze. Także ona była tam, nie wiem, czy ona była moją... Wtedy tam komendantką jakąś, coś nie bardzo pamiętam. W każdym razie to nazwisko bardzo ważne w moim życiu.

Artur Kłus: A jak pani pamięta taką warszawską ulicę? Co się działo, taka codzienność okupacyjna, jak to pani wspomina?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Tak prawdę powiedziawszy, to ta ulica była straszna. Jakoś człowiek się bał w ogóle chodzić, na przykład, jeżeli chodzi o jazdę, ja pamiętam, że myśmy zawsze, ponieważ od małego z braćmi, tych braci miałam koło siebie bliżej, więc z braćmi, z chłopakami byłam, wobec tego robiło się takie rzeczy jak bardzo fajna rzecz, to jeżdżenie na... Jak się to nazywało? Na schodach tramwajów? Ja naturalnie tak samo strasznie to lubiłam, że człowiek gdzieś tam się przyczepiał, tramwaj jechał i człowiek wskakiwał. Także ja mówię, że mama biedna chyba też nieraz bardzo się bała o nas, bo wiedziała, że to wszystko jest takie pełne energii i do działania itd., więc wszędzie mogło się zginąć, albo w politycznych rzeczach, albo w normalnym życiu.

Artur Kłus: W 1943 r. zdała Pani małą maturę.

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Mała matura u sióstr Niepokalanek na ulicy... Nie mogę sobie przypomnieć. W każdym razie, jak patrzeć od Mokotowa w stronę Warszawy, to to było, że lewostronna Warszawa. Z tej lewej strony była ta ulica, gdzie właśnie był ten klasztor sióstr i gdzie miałam tą małą maturę.

Artur Kłus: Czyli jednocześnie się Pani uczyła.

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Tak. Trochę przygotowywała do konspiracji.

Artur Kłus: A kwestia Powstania Warszawskiego, jak tutaj byliście przygotowywani?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Ciągłe człowiek przygotowywał się, przygotowywali nas do czegoś, co ma być. No naturalnie najważniejsze to była wolność, ale żeby wyjść z klatki, to trzeba wiedzieć, gdzie jest furtka czy coś, żeby się wydostać z tego. Także ciągle było to, że człowiek... Nie musieli nic mówić, bo człowiek był jakby w tym wrośnięty, prawda? Że żyjemy po to, żeby odzyskać wolność, że jakoś trzeba do tego, że my to robimy, dziewczyny w tym wypadku jako sanitariuszki. Chłopcy, brat już miał podchorążówkę skończoną, także po prostu wiedziało się, że któregoś dnia będzie to Powstanie.

Artur Kłus: Ale Pani wtedy była w Laskach podwarszawskich, tak?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Bo do Lasek bardzo często jeździliśmy, bo tak... z tego Ikara mama przeniosła dzieci, bo Laski warszawskie wtedy prowadził pan Antoni Marylski. Nasz bardzo dobry, miły znajomy, bardzo mądry człowiek i głęboki, bo on w końcu księdzem został pod koniec życia. I naturalnie wiedział wszystko o nas i o naszej rodzinie, a tam tak samo była konspiracja w Laskach i ta konspiracja tam laskowska. Także to wszystko było taka ogromna jakby „sieć” tego wszystkiego przeciw Niemcom i ku wolności przygotowywania wszystkich. Ponieważ wiadomo, wszyscy starsi wiedzieli o tym, że to Powstanie ma być, wobec tego trzeba było rodzinę przenieść z Ikara. Właśnie pan Antoni Marylski powiedział, że przyjeździe – do mamy – koniecznie do Lasek, tam damy wam mieszkanie i wszystko i będziecie pod naszą opieką. I tak się stało, żeśmy opuścili to Ikara. Zostało tam, tylko pamiętam, że jakieś rzeczy, ale nie wiem, czy to jakieś... No to masę tam było przecież rzeczy dla dzieci itd., ubrań itd. I to taki był schowek, to też od ojca przyszedł taki magik, który nad łazienką na Ikara zrobił schowek, gdzie można było te rzeczy pochować, że później jak coś tam się zmieni, będzie można pójść tam zabrać, to się weźmie. Niestety w czasie, już później jak można było pójść tam, to jak Ci nasi znajomi poszli tam szukać, okazało się, że w czasie tych różnych bombardowań itd., schowek się otworzył, że niestety nie wytrzymało to jakieś tam zamknięcie. No a jak się otworzył, to wiadomo, że już było masę takich „łazików”, co łazili po domach i brali, co mogli, także tam już nic z tego nie mieliśmy.

Artur Kłus: Jak wybuchła Powstanie, to gdzie Pani się znajduje?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Jak wybuchło Powstanie, to byłam właśnie w Laskach w odwiedzinach u... Tak, ale skąd? Teraz myślę sobie, skąd ja byłam, jak Ikara już nie działało. A może ja jeszcze byłam na tym, na Ikara. W każdym razie przyjechałam do Lasek, właśnie do mamy i do dzieci, bo zawsze mówiliśmy dzieci o tych wszystkich matych. I raptem przyjechała Maryjka na rowerze i powiedziała: „Basiu, Powstanie, siadaj w tej chwili na rower ze mną, jedziemy do Powstania”. Ona wszystko już wiedziała i na ramie zawiozła mnie, a przecież to kawał drogi z tych Lasek. Więc tam pożegnałam się z mamą i z tymi wszystkimi i przyjechałam. I teraz zastanawiam się, gdzie myśmy były. –

Artur Kłus: To był 5 Obwód Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej, 1 Pułk Szwoleżerów. Tak, ale my trafiliśmy znowu na Mokotów... Ale na jakiej ulicy?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Aha, bo siedzieliśmy teraz w piwnicy już. To już nie był normalny dom, tylko piwnice. I w tych piwnicach zorganizowaliśmy cały ten szpital. Wiem, że ojca mieszkanie na Puławskiej, Puławska 103, że było niedaleko jakoś, nie pamiętam właśnie, gdzie myśmy byli, gdzieś mieli te piwnice. Znowu mi się zdaje, że z drugiej strony Puławskiej. Jakoś tak, nie wiem, mi się to kojarzy, że jest prawobrzeżna Puławska albo lewo. No nic, w każdym razie tam już przygotowywaliśmy na gwałt wszystko, żeby było na tego... I pierwsi ranni. To było dla mnie np. strasznie przejmujące. Bo to człowiek mówił – ranny, ranny itd., ale ranny to byliśmy, jak się o pokrzywę sparzył człowiek albo gdzieś tam zadrapał, prawda. A tu przychodzili ludzie na granicy życia, więc... I tu znowu wielką pomocą dla mnie było, wydaje mi się ta kuzynka, która była jednak te cztery lata starsza czy trzy lata starsza i dużo doroślejsza ode mnie, tak że wydaje mi się, że bardzo mi pomagała w tych sprawach konspiracyjnych i w tej służbie chorym.

Artur Kłus: Jak ten szpital w piwnicy wyglądał?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Tak jak ta piwnica, więc były w tych kątach, jak to powiedzieć, bo te piwnice nie były takie znowu duże, więc tam były wszędzie porobione te łóżka dla rannych i po prostu jak był ktoś ranny, to na te łóżka przynosili nam koledzy, a myśmy się już tam... Albo myśmy wychodziły, żeby wziąć tych rannych skądś. To też pamiętam właśnie, pamiętałam kiedyś takie wyjście po jednego rannego, ale dzisiaj już nie bardzo sobie mogę przypomnieć. No i tam już właśnie coraz bardziej człowiek jakby się doksztalał w tym, tak można powiedzieć. Ja uważam dzisiaj, jak sobie myślę o tym, jaką ja byłam sanitariuszką, to wydaje mi się, że to bardzo marnie, to wykształcenie sanitarne. Niby człowiek chodził na te wykłady itd., ale i ten mój wiek był taki trochę bzikowaty jeszcze. Właśnie ciągle pamiętam, że ta kuzynka, ta Maryjka, była tyle doroślejsza ode mnie i tyle jakoś bardziej tego i tak mnie wciągała w to wszystko, także to było cudowne.

Artur Kłus: Pamięta Pani może wybuchy albo poszukiwanie jedzenia? Jak tutaj sobie radziliście?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: To jakoś tak było, że jedni byli od tego, drudzy od innego, więc... W ogóle z tym gotowaniem i z tym jedzeniem to w ogóle nie pamiętam. Nie było to takie ważne, tak się wydawało. Najważniejsi byli ci ranni i przy nich byliśmy. Lekarzy pamiętam. Specjalnie jednego. Naturalnie w tym momencie wypadło mi jego imię czy nazwisko, bo to zawsze się o nim tak mówiło, ale w tym momencie nie pamiętam. I on tak zginął. Może dlatego jeszcze bardziej go pamiętam, jak innych, że w pewnym momencie... Aha, no bo przecież były kanały. Przecież myśmy... Jak to... Aha, już wiem. Z Mokotowa musieliśmy w końcu... Przyszedł taki ten, że Mokotów zdaje się padł i myśmy kanałami przechodzili z tymi naszymi rannymi, lżej rannymi, przechodziłyśmy do Śródmieścia. Także, nie wiem, czy Pan jest warszawiak?

Artur Kłus: Nie, no ale tak kojarzę.

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Z Mokotowa na Śródmieście. To jednak tam kawał tych kanałów jest. I wszyscy mi się pytają, no jak te kanały? A dla mnie, chyba to dlatego, że ja byłam właśnie taka jakoś sportowa zawsze, to dla mnie to było bardzo ciekawe. I więcej ciekawości w tym było jak strachu. Bo pamiętam, że moja koleżanka jedna, to tak strasznie się bała, że naprawdę ja się bałam, że ona ze strachu tam umrze w ogóle w tych kanałach. Kanały były straszne, no ale... – Bo wspominała Pani, że szliście kanałami około 14 godzin. – Tak. I tam były takie momenty, że w tych kanałach raptem zaczęła woda nam podchodzić, czyli człowiek wchodził coraz głębiej w wodę. No i ja sobie myślę, no w końcu ja nie umiem pływać dobrze, to co ja zrobię? No i zaczęliśmy się dopytywać, jak to tam jest dalej, ale właśnie nie pamiętam, co to z tą wodą było. Czy przechodziło się później do innego kanału, bo to byli specjalnie Ci łącznicy, którzy byli wyszkoleni i w tych kanałach sobie chodzili dosłownie tak jak po ulicach i nas prowadzili. I właśnie nie pamiętam, jak to się stało, czy tam jedna koleżanka nie zginęła nawet w tej wodzie podchodzącej, już nie pamiętam. Pamiętam, że to było jakoś bardzo straszne.

Artur Kłus: Wspominała Pani kiedyś, że w tych kanałach ludzie różnie reagowali, niektórzy dostawali szafu albo mieli omamy.

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Tak, zaczynali krzyczeć, dajmy na to. I naturalnie to był strach znowu, bo przecież przy każdym włączu, bo włącz to był wylaz na ulicę, więc przy takim tym mógł być otwarty ten włącz i wtedy Niemcy posłyszeli, że ludzie są i po prostu wrzucali granaty do środka. Także.. Aha, Oleś, Oleś Starowiejski. – Lekarz. – Nie, to nie lekarz. Kolega żołnierz. I on dostał takiego szafu. I gdzieś tam, nie pamiętam, co się z nim stało, ale on zginął w tych kanałach. I też jedna moja koleżanka, nie wiem, czy to nie ta, która później... Nie wiem, ale w tym momencie nie mogę, może sobie przypomnę jeszcze, co z nią się stało w tych kanałach. Też miała jakieś straszne przejścia. Aha, już wiem, że ktoś tam został w kanałach i trzeba było pójść po niego. I to już bardzo trudno było wrócić. Nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, że człowiek już jakoś tam wylazł gdzieś i trzeba było w to wszystko wrócić. I ta właśnie była taka nadzwyczajna, że ona momentalnie obróciła się i poleciała i tam sprowadziła tego kogoś. A nie, to było po koleżankę jedną, sanitariuszkę. I niestety jakoś tak było, że ona jej nie uratowała. No nie, w każdym razie wie Pan, to było wszystko razem bardzo trudne i bardzo ciężkie, ale człowiek musiał być silny, żeby to wszystko znieść, żeby do tej, w końcu do tej wolności gdzieś wyjść.

Artur Kłus: Bo z kanałów wyszliście na ulicę Wilczą.

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Tak.

Artur Kłus: A jeszcze wcześniej Pani też wspominała, że była w szpitalu Elżbietanek. Pamięta Pani może ten szpital?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Pamiętam... A już wiem, bo myśmy chodziły z naszych piwnic, ponieważ tych rannych nie można było przenieść do szpitala, po prostu oni byli za ciężko ranni, a tam chodziliśmy na dyżury, czyli do pracy na tą Wilczą, tak, więc to jakoś pamiętam, że jakoś się tym tramwajem kawałek jechało. I też człowiek cały czas myślał sobie, żeby go tam nie złapali, bo ciągle... Właściwie tego nie pamiętam, jak to było, że ciągle się czło-

wiek bał, że... Czy to była ta policja niemiecka, czy na ulicach Warszawy? – Ale to jeszcze przed Powstaniem. – Tak. Że jak to było, że człowiek się bał po ulicy jednak chodzić. Czy iść do tramwaju, że wszędzie trzeba było uważać bardzo. – Pani też jeszcze wspominała, bo później jeszcze był punkt medyczny na Długiej i że też były ostrzały, jeżeli chodzi o tzw. „krowy” i później ludzie poparzeni i tutaj też ta pomoc była udzielana. – W ogóle te „krowy” to była makabra zupełna. Bo to tak słychać było, jakby krowy ryczały. I myśmy to nazywali „nakręcanie krów”. O, znowu „krowy nakręcają”. I wie Pan, jak to na tym, człowiek był okropnie przerażony, a z drugiej strony to było normalne. Można to tak powiedzieć, no. Z tym że jeżeli ktoś właśnie może psychicznie był słabszy, to mu było bardzo ciężko, naprawdę. A my, ponieważ myśmy byli od małego wychowywani na baczność, więc może jakoś tak człowiek był odporny bardziej na te wszystkie straszne rzeczy.

Artur Kłus: A pamięta Pani, jak została sama ranna?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: Byłyśmy na sekundę, miałyśmy... Sekundę, kilka minut miałyśmy wolnego od naszych chorych, naszych rannych i siedziałyśmy w kilka, chyba przy... Bo to cudowne słońce było wtedy. Sierpień, tak? Cudowny sierpień i na chwilę na słońcu. W czasie Powstania to nigdy nie wiadomo, skąd ta kula przyleciała, bo naprawdę nie wiadomo. Raptem ją poczułam, że mnie ktoś z całej siły bije w ten... Byłam przekonana, że koleżanka się obróciła, niechcący i obróciła się i łokciem, ponieważ łokieć taki ostry, więc ja tak sobie wyobrażałam, że ten łokieć mi tutaj uderzył. I złapałam się tak, na to ta, co była koło mnie, mówi: „Basiu, zostałaś ranna”. I krew się leje, jak nie wiem co. I okazało się, że kula się prześlizgnęła po skroni. Także chyba to też mama zadziała.

Artur Kłus: A mama też była w tym czasie, podczas powstania, gdzie?

Barbara Grocholska-Kurkowiak: No mama ciągle chyba wtedy była w Laskach z dziećmi. Ale właśnie co było pewne, jak się to Powstanie kończyło, ojciec został ciężko ranny. Naprawdę, dostał trzy kule chyba w brzuch i mama naturalnie, można powiedzieć, że co za matka odjechała od dzieci. Ale ponieważ to była taka ogromna miłość i przywiązanie do ojca, a dzieci były w Laskach pod opieką naszych pań cudownych, które mamie pomagały i naturalnie pana Marylskiego, więc mama z panem Marylskim się umówiła, że jednak mama idzie szukać ojca. Bo dowiedziała się gdzieś tam, że ojciec ranny. I tak że poszła w tę najgorszą rzecz, bo w Starówkę. I tam trafiła w tej Starówce, naturalnie nie do ojca, bo ojca tam wcale nie znalazła, ale pierwsza rzecz to poszukała szpitala. I zgłosiła się, pierwsza zgłosiła się do pomocy tam. I tam się opiekowała, bo nie mogła już nigdzie dalej pójść, tylko ugrzęzła już tam i opiekowała się tam znowu rannymi. – A Pani pamięta może jakichś rannych, jakieś, czy ma Pani wspomnienia, jeżeli chodzi o tą opiekę? – Pamiętam, tylko... Pierwsi ranni to był dla nas taki szok, bo to kolega, który dopiero co szedł i walczył i raptem go przynoszą, czy my go przynosimy. Właściwie nie bardzo pamiętam, jak żeśmy przynosili tego rannego jednego z Maryjką i jeszcze jedną koleżanką. Ale to już właśnie to marnie pamiętam.